

Bolesław Prus

Lalka i nie tylko - Biografia bez cenzury

Antoni Kurek

Słowo wstępne

Bolesław Prus należy do pisarzy, których wszyscy znają ze szkoły, a mało kto zna naprawdę. W powszechnej pamięci funkcjonuje jako autor „Lalki” i „Kamizelki”, dobrotliwy kronikarz Warszawy, pozytywista wierzący w pracę u podstaw i postęp nauki. Ten obraz nie jest fałszywy, ale jest niepełny. Powstał w dużej mierze z tego, co Prus sam chciał o sobie pokazać, oraz z tego, co po jego śmierci uznano za stosowne powiedzieć.

Tytuł tej książki ma dwa znaczenia. Pierwsze jest dosłowne: Prus przez całe życie pisał pod okiem cenzury carskiej i nauczył się mówić o wielu sprawach półsłówkami. Drugie jest ważniejsze. Chodzi o cenzurę, którą stosowali wobec niego rodzina, przyjaciele i pierwsi biografowie, a także on sam. Przez dziesięciolecia pomijano lub łagodniono tematy uznane za niewygodne: udział szesnastolatka w powstaniu i pobyt w więzieniu, lata biedy i pracy fizycznej, porzucone studia, finansową klęskę redaktora, lęk przed otwartą przestrzenią, który komplikował mu codzienne życie, chorobę psychiczną brata, trudne małżeństwo i samobójczą śmierć przybranego syna. Nie chodziło o złą wolę. Taki był obyczaj epoki, która od biografii wielkich ludzi oczekiwała przykładu, a nie prawdy.

Ta książka nie jest próbą obalenia pomnika ani szukania sensacji. Jej celem jest przywrócenie Prusowi tego, co zostało z jego życia wycięte, i pokazanie, że autor „Lalki” był człowiekiem, który pracował mimo biedy, choroby i osobistych strat, a nie w oderwaniu od nich. Wiele z jego pisarstwa staje się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy zna się te okoliczności.

Starałem się przestrzegać kilku zasad. Tam, gdzie fakty są udokumentowane, podaję je wprost. Tam, gdzie opieram się na wspomnieniach, zaznaczam, czyje to wspomnienia i kiedy zostały spisane. Tam, gdzie zostają tylko hipotezy, nazywam je hipotezami. Nie próbuję stawiać Prusowi diagnoz ani rozstrzygać spraw, których

rozstrzygnąć się nie da. Nie cytuję plotek jako faktów, ale nie udaję też, że plotek nie było, bo one również należą do historii jego życia.

Książka ma układ chronologiczny. Osiem rozdziałów prowadzi od narodzin w Hrubieszowie w 1847 roku do pogrzebu na Powązkach w 1912 roku. Powieści Prusa pojawiają się w niej o tyle, o ile pomagają zrozumieć jego życie. Czytelnik nie znajdzie tu pełnych analiz literackich, bo tych napisano już wiele i lepiej, niż ja bym potrafił.

Jeśli po lekturze Prus wyda się mniej pomnikowy, a bardziej zrozumiały, książka spełni swoje zadanie.

Autor

Spis treści

Słowo wstępne.....	2
Rozdział 1. Sierota z Hrubieszowa	6
1.1. Aleksander Głowacki przychodzi na świat.....	6
1.2. Śmierć ojca, śmierć matki	16
1.3. Dzieciństwo u obcych krewnych	23
1.4. Starszy brat Leon	32
Rozdział 2. Szesnastolatek w powstaniu	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
2.1. Ucieczka ze szkoły do oddziału	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
2.2. Bitwa pod Białką	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
2.3. Ranny, pobity, zapomniany	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
2.4. Cela na zamku lubelskim.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
Rozdział 3. Bieda, nauka i porażki	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
3.1. Matura mimo wszystko	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
3.2. Szkoła Główna i pusty żołądek	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
3.3. Porzucone studia.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
3.4. Robotnik w fabryce Lilpopa	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
Rozdział 4. Felietonista, który bał się placów	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
4.1. Narodziny pseudonimu Prus....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
4.2. Kroniki tygodniowe.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
4.3. Klęska „Nowin”	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
4.4. Agorafobia, o której milczano .	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
Rozdział 5. Lalka i nerwy.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
5.1. Od „Placówki” do „Lalki”	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.

5.2. Wokulski, czyli autoportret?....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
5.3. „Emancypantki” i krytycy	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
5.4. „Faraon” pisany w udręce.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
Rozdział 6. Małżeństwo bez złudzeń .	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
6.1. Oktawia Trembińska.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
6.2. Dom bez własnych dzieci	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
6.3. Codzienność pisarza i żony	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
6.4. Kobiety w cieniu.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
Rozdział 7. Tragedia Emila	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
7.1. Przybrany syn	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
7.2. Nadzieje ojca	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
7.3. Strzał w 1904 roku.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
7.4. Rana, która się nie zagoiła	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
Rozdział 8. Ostatnie lata w Warszawie	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
8.1. Rewolucja 1905 roku.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
8.2. „Dzieci” i „Przemiany”	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
8.3. Choroba i samotność	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
8.4. Pogrzeb na Powązkach	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.

Rozdział 1. Sierota z Hrubieszowa

1.1. Aleksander Głowacki przychodzi na świat

Zaczynam od sprawy, która wydaje się najprostsza i którą warto od razu postawić uczciwie: od daty. Aleksander Głowacki, znany światu jako Bolesław Prus, urodził się 20 sierpnia 1847 roku w Hrubieszowie, w południowo-wschodniej części Królestwa Polskiego. Godzina podawana przez część źródeł to jedenasta wieczorem.

Miejsce przyjścia na świat jest w tym wypadku szczegółem mówiącym więcej niż zwykle. Rodzina nie miała własnego domu w mieście, a chłopiec urodził się w domu należącym do księdza kanonika Feliksa Troszczyńskiego. Ten drobiazg powtarzany przez badaczy hrubieszowskich mówi o Głowackich rzecz istotną: rodzina zarządcy majątków mieszkała tam, gdzie akurat wypadło, i korzystała z gościny duchownego.

Z metryką wiąże się rozbieżność, o której warto powiedzieć wprost, bo wraca w opracowaniach. Akt urodzenia został sporządzony 26 grudnia 1847 roku, a więc cztery miesiące po narodzinach. Nie było to w tamtym czasie nic nadzwyczajnego — akta spisywano zbiorczo i z opóźnieniem — ale ten odstęp jest jedną z przyczyn, dla których w części dawniejszych opracowań pojawiały się inne datyienne. Dziś przyjmuje się bez wątpliwości 20 sierpnia, natomiast czytelnik napotykający w starszych książkach inną datę powinien wiedzieć, skąd bierze się ta niezgodność.

Zwracam na to uwagę od pierwszych zdań, ponieważ biografia Prusa jest pod tym względem szczególna. Sporo w niej miejsc, w których dokument mówi jedno, wspomnienie drugie, a legenda trzecie. Będę te miejsca wskazywał, zamiast wygładzać opowieść.

Chrzest odbył się w miejscowej parafii i to wydarzenie, w odróżnieniu od samych narodzin, zostawiło ślad urzędowy. Imię Aleksander nie było w rodzinie dziedziczone po nikim, o kim byśmy wiedzieli, i zapewne wybrano je zgodnie z kalendarzem albo z upodobaniem rodziców.

Zwracam na to uwagę, bo warto zauważyć, jak mało wiemy o rzeczach najzwyklejszych. Kto trzymał chłopca do chrztu, kto był na uroczystości, czy odbyło się przyjęcie — nic z tego nie zostało zapisane albo nie przetrwało.

Biografia człowieka, którego czytają miliony, zaczyna się od kilku linijek w księdze parafialnej.

Hrubieszów połowy dziewiętnastego wieku był miastem niewielkim, liczącym około sześciu tysięcy mieszkańców. Leżał nad Huczwą, niewielką rzeką wpadającą do Bugu kilkanaście kilometrów dalej, blisko granicy z ziemiami zabranymi przez Rosję. To położenie nadgraniczne miało znaczenie i gospodarcze, i polityczne.

Ludność miasta składała się z trzech głównych grup. Żydzi stanowili w Hrubieszowie większość albo blisko połowy mieszkańców i w ich rękach pozostawał handel oraz znaczna część rzemiosła. Polacy tworzyli warstwę urzędniczą, szlachecką i częściowo rzemieślniczą. Rusini, czyli ludność obrządku unickiego, później przymusowo przeniesiona do prawosławia, mieszkali głównie we wsiach okolicznych i w uboższych częściach miasta. Trzy języki, trzy kalendarze świąteczne, trzy porządki obyczajowe na jednym rynku — to był świat, w którym Głowacki przyszedł na świat.

Współistnienie to nie było ani sielanką, ani stałym konfliktem. Grupy żyły obok siebie, stykając się w interesach i rozchodząc w sprawach religii, obyczaju i małżeństw. Każda miała własne instytucje: kościół, cerkiew, synagogę, własną szkołę, własne bractwa i własny cmentarz.

Warto mieć ten obraz w pamięci przy lekturze późniejszej publicystyki Prusa. Człowiek, który przez dziesięciolecia pisał o stosunkach polsko-żydowskich w Warszawie, urodził się w mieście, w którym ludność żydowska stanowiła połowę mieszkańców, i widział tę współzależność, zanim zaczął o niej myśleć.

Los tej społeczności dopełnił się niecałe sto lat po jego urodzeniu. Z Hrubieszowa, w którym przyszedł na świat, ludność żydowska zniknęła w czasie drugiej wojny światowej niemal całkowicie.

Gospodarka opierała się na rolnictwie okolicznych majątków, na handlu zbożem i na targach. Hrubieszów służył z Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego, instytucji założonej jeszcze w 1816 roku przez Stanisława Staszica, która była jednym z najciekawszych przedsięwzięć spółdzielczych w ówczesnej Europie. Nie miało to bezpośredniego wpływu na losy rodziny Głowackich, ale warto pamiętać, że pisarz, który przez całe życie zajmował się gospodarką i pracą organiczną, urodził się w mieście naznaczonym takim eksperymentem.

Rytm życia miasteczka wyznaczały targi i jarmarki. W dni targowe rynek wypełniał się wozami z okolicznych wsi, a liczba ludzi w mieście rosła kilkakrotnie. Handlowano zbożem, bydłem, skórą, drewnem, płótnem i wszystkim, co gospodarstwo mogło sprzedać albo kupić. Przez resztę tygodnia panowała cisza.

Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, o którym wspomniałem, zasługuje przy tym na kilka zdań więcej, bo było przedsięwzięciem naprawdę niezwykłym. Stanisław Staszic kupił dobra hrubieszowskie i w 1816 roku przekazał je zrzeszeniu chłopów i mieszczan, ustanawiając wspólnotę, która miała sama sobą zarządzać.

Członkowie otrzymywali ziemię na własność, a wspólnota prowadziła kasę pożyczkową, magazyn zbożowy na wypadek nieurodzaju, szkołę i opiekę nad chorymi. Zyski przeznaczano na cele wspólne. Był to jeden z pierwszych w Europie eksperymentów spółdzielczych i przetrwał ponad sto lat.

Nie twierdzę, że miało to wpływ na losy chłopca urodzonego tam w 1847 roku, bo nie mam na to dowodu. Odnotowuję zbieżność, która wydaje mi się warta zapamiętania: człowiek, który przez czterdzieści lat pisał o spółdzielczości, kasach zapomogowych i organizowaniu się od dołu, przyszedł na świat kilkaset metrów od najstarszej polskiej spółdzielni.

Rok 1847 wart jest przy tym osobnego zdania także z innego powodu. Był to jeden z najcięższych lat głodu w dziewiętnastowiecznej Europie. Nieurodzaj ziemniaka, który w Irlandii wywołał klęskę głodową o skutkach katastrofalnych, uderzył także w ziemie polskie, a razem z nim przyszły dżyżna, tyfus głodowy i epidemie.

W Galicji rok wcześniej doszło do rzezi galicyjskiej, w której chłopcy wymordowali kilkuset właścicieli majątków. W całej Europie narastało napięcie, które rok później wybuchło Wiosną Ludów.

Dziecko urodzone w sierpniu 1847 roku przyszło więc na świat w roku nieurodzaju, na kilka miesięcy przed wstrząsem, który zmienił porządek polityczny połowy kontynentu. Nic z tego nie dotyczyło go bezpośrednio i wszystko tworzyło świat, w którym miał żyć.

Zabudowa była w większości drewniana i parterowa, z murowanymi domami przy rynku i przy głównych ulicach. Bruk kończył się kilka kroków za centrum. Oświetlenia ulicznego nie było, wodę czerpano ze studni, a ścieki spływały rynsztokiem. Opisuję to bez upiększeń, bo takie było wtedy

każde miasteczko powiatowe w Królestwie i takiego widoku Prus będzie potem żądał usunąć z Warszawy w setkach kronik.

Do Lublina, najbliższego dużego miasta, było stamtąd około stu kilometrów, czyli dwa dni jazdy wozem. Kolej dotarła w te strony dopiero pod koniec stulecia. Człowiek urodzony w Hrubieszowie w 1847 roku przychodził więc na świat w miejscu, z którego świat był daleko.

Warto przy tym pamiętać, czym była wtedy odległość. Podróż stu kilometrów zajmowała dwa dni i wymagała noclegu w karczmie, zmiany koni albo wynajęcia furmanki. List szedł tyleż samo albo dłużej. Wiadomość o śmierci krewnego docierała po tygodniu, a odpowiedź na pytanie po dwóch.

Skutkiem była pewna zamkniętość życia. Człowiek z Hrubieszowa znał swoje miasto, okoliczne wsie i najwyżej Lublin. O Warszawie wiedział ze słyszenia, o Europie z gazet, jeżeli je czytał.

Aleksander Głowacki przeżył w swoim życiu przejście od tego świata do świata kolei, telegrafu i gazety codziennej. Nie jest przypadkiem, że przez czterdzieści lat pisał o wynalazkach z entuzjazmem człowieka, który pamięta, jak było wcześniej.

Sytuacja polityczna Królestwa Polskiego po klęsce powstania listopadowego kształtowała życie takich rodzin w sposób bardzo konkretny i o tym trzeba powiedzieć bez rozbudowanej historii politycznej.

Po 1831 roku Królestwo utraciło konstytucję, sejm i własne wojsko. Statut Organiczny z 1832 roku uczynił z niego prowincję cesarstwa, choć formalna odrębność pozostała. Wprowadzono stan wojenny, który w różnych postaciach trwał przez dziesięciolecia. Urzędy stopniowo przechodziły w ręce ludzi przysyłanych z Rosji albo lojalnych wobec władzy, a język rosyjski wkraczał do administracji.

Okres ten nazwano później nocą paskiewiczowską, od nazwiska namiestnika Iwana Paskiewicza, który rządził Królestwem przez dwadzieścia cztery lata, do 1856 roku. Rządy te oznaczały cenzurę obejmującą wszystko, co drukowano, zakaz zrzeszania się, kontrolę nad szkołami i nad Kościołem oraz sieć policji politycznej sięgającą do każdego powiatu.

Skutkiem ubocznym była martwota życia umysłowego. Nie było uniwersytetu w Warszawie, nie było wolnej prasy, nie było stowarzyszeń naukowych z prawdziwego zdarzenia. Wszystko, co się w tej dziedzinie działo, działo się prywatnie, po domach, i w ten sposób przetrwało do

następnego pokolenia — do tego właśnie, które w latach sześćdziesiątych zbuduje Szkołę Główną i prasę pozytywistyczną.

Cenzura zasługuje w tym opisie na osobne zdanie, bo będzie towarzyszyła bohaterowi tej książki przez całe życie zawodowe. Każdy druk — książka, gazeta, afisz, nuty, obrazek — wymagał zgody urzędu cenzury przed wydaniem. Cenzor czytał tekst, skreślał, żądał zmian albo odmawiał zezwolenia.

Zakazane były tematy polityczne, historia Polski w wersji innej niż urzędowa, wzmianki o powstaniach, krytyka władz i administracji, a także wszystko, co uznano za podważające religię i moralność. Lista rosła i zmieniała się w zależności od nastrojów w Petersburgu.

Literatura, która w takich warunkach powstawała, nauczyła się mówić nie wprost, a czytelnik nauczył się czytać między wierszami. Obie te umiejętności utrzymały się na ziemiach polskich znacznie dłużej niż sama cenzura carska.

Dla rodziny takiej jak Głowaccy oznaczało to trzy rzeczy. Po pierwsze, zamknięcie dróg awansu — urzędy państwowe i wojsko przestały być dla polskiej drobnej szlachty źródłem kariery. Po drugie, zubożenie ziemiaństwa, od którego zależeli zarządcy majątków; konfiskaty po powstaniu i kryzysy rolne uderzały w ich chlebobawców, a przez nich w nich samych. Po trzecie, stały nadzór: rejestracja, paszporty wewnętrzne, kontrola przemieszczania się.

Ojciec pisarza, Antoni Głowacki, był zarządcą majątków ziemskich — w źródłach pojawia się określenie ekonom albo rządcą. Oznaczało to człowieka, który w cudzym majątku prowadził gospodarstwo: nadzorował prace polowe, rozliczał służbę folwarczną, pilnował inwentarza i zdawał rachunki właścicielowi.

Pozycja społeczna takiego człowieka była osobliwa i warto ją zrozumieć, bo tłumaczy bardzo wiele z późniejszego stosunku Prusa do spraw majątkowych. Ekonom nie był chłopem ani sługą, lecz nie był też panem. Stał między dworem a wsią, zależny od kaprysu właściciela, bez własnej ziemi, często zmieniający miejsce pracy. Jego dochody bywały przyzwoite, ale niepewne, a zabezpieczenia na starość nie miał żadnego.

Codziennosc tej pracy wyznaczał kalendarz rolniczy. Wiosną siewy i wywózka obornika, latem sianokosy i żniwa, jesienią orka, wykopki i

młocka, zimą rachunki, naprawy i wyrąb. Ekonom wstawał przed świtem, objeżdżał pola, rozdzielał ludzi do robót i pilnował, żeby robota szła.

Najdelikatniejszą częścią tych obowiązków był nadzór nad pańszczyzną, która w Królestwie Polskim obowiązywała aż do uwłaszczenia w 1864 roku. Chłop odrabiał na rzecz dworu określoną liczbę dni w tygodniu, a ekonom był tym, kto tego pilnował i kto karał za uchylanie się. Był więc człowiekiem, którego wieś nie lubiła, a dwór traktował jak wykonawcę.

Do tego dochodziła odpowiedzialność materialna. Ekonom rozliczał się z każdego korca zboża i z każdej sztuki inwentarza. Niedobór obciążał jego kieszeń, a podejrzenie o nieuczciwość kończyło posadę bez świadectwa, co w tym zawodzie oznaczało ruinę.

Częste przenosiny między majątkami były w tym zawodzie regułą i to wyjaśnia, dlaczego wczesne lata Aleksandra trudno umieścić w jednym miejscu. Rodzina mieszkała tam, gdzie wypadała posada.

Ile było tych przenosin i gdzie dokładnie, nie wiadomo. Opracowania wymieniają kilka miejscowości Lubelszczyzny i Wołynia, do których Antoni Głowacki bywał wiązany, lecz żadne z tych wskazań nie ma mocnego oparcia w dokumencie.

Powtarzam tu zastrzeżenie, które będzie wracać przez cały ten rozdział. Wiemy, gdzie się urodził, wiemy, kiedy umarli jego rodzice, i wiemy, gdzie chodził do szkoły. Wszystko, co między tymi punktami, jest domysłem opartym na tym, jak wyglądało życie ludzi tego zawodu.

Matka, Apolonia z Trembińskich, pochodziła z rodziny o podobnym statusie — drobnoszlacheckiej, bez majątku, rozsianej po Lubelszczyźnie. W niektórych opracowaniach pojawia się imię w formie Apolinaria, ale przeważa zapis Apolonia i tę formę przyjmuję.

O jej charakterze wiadomo bardzo niewiele i tu trzeba powiedzieć wprost: prawie wszystko, co się o niej pisze, pochodzi z późniejszych domysłów. Zmarła w 1850 roku, gdy syn miał trzy lata, więc Aleksander nie mógł jej pamiętać inaczej niż mgliście, jeżeli w ogóle. Nie zachowały się jej listy, nie zachowały się relacje osób, które by ją bliżej znały i o niej pisały. Wszystko, co można powiedzieć z ręką na sercu, to że zmarła młodo i że jej rodzina, Trembińscy, odegrała w życiu jej syna rolę pierwszoplanową — to u nich się wychowywał i z tej rodziny pochodziła jego przysła żona.

Dodam jeszcze uwagę o umiejętności pisania, bo bywa ona w takich rozważaniach pomijana. Kobiety z drobnej szlachty czytać umiały niemal

wszystkie, pisać — większość, choć nie wszystkie. Korespondencję prowadzono jednak rzadko i tylko wtedy, gdy była potrzebna, a listy niszczone albo przechowywano przypadkowo.

Brak listów Apolonii Głowackiej nie świadczy więc o niej ani źle, ani dobrze. Świadczy o tym, jak wyglądała dokumentacja życia zwykłych ludzi w połowie dziewiętnastego wieku: prawie żadna.

Rodzina należała do szlachty herbu Prus, a konkretnie Prus I, zwanego też Turzyna. Ten szczegół heraldyczny wróci w czwartym rozdziale przy okazji pseudonimu literackiego, tutaj interesuje mnie co innego: co taka przynależność oznaczała w praktyce około 1847 roku.

Oznaczała przede wszystkim prawa i aspiracje bez pokrycia majątkowego. Szlachcic bez ziemi zachowywał świadomość pochodzenia, tytuł w papierach i poczucie, że należy do warstwy rządzącej, a jednocześnie musiał pracować za pieniądze u kogoś innego. W realiach popowstaniowych dochodził do tego problem dowodowy: władze rosyjskie przeprowadzały weryfikację szlachectwa i kto nie przedstawił dokumentów, tracił status urzędowo. Setki tysięcy drobnej szlachty zostało w ten sposób przesuniętych do kategorii mieszczan albo wolnych ludzi.

Warto uświadomić sobie skalę tego zjawiska, bo w polskiej pamięci jest ono zaskakująco słabo obecne. Drobna szlachta stanowiła w dawnej Rzeczypospolitej warstwę wyjątkowo liczną — w niektórych okolicach całe wsie zamieszkiwali ludzie herbowi, uprawiający ziemię własnymi rękami. Po rozbiorach władze rosyjskie uznały ten stan rzeczy za absurd administracyjny i przystąpiły do porządkowania go za pomocą papierów.

Wymagano dowodów: wypisów z ksiąg ziemskich, dokumentów nadania, poświadczeń sądowych. Kto ich nie miał, a nie miała ich większość, tracił szlachectwo mocą decyzji urzędnika. Był to jeden z największych przesunień społecznych dziewiętnastego wieku na tych ziemiach i odbył się bez jednego wystrzału, wyłącznie za pomocą formularzy.

Rodziny takie jak Głowaccy znajdowały się więc w położeniu podwójnie niepewnym: bez ziemi i bez pewności, czy papiery wytrzymają kolejną weryfikację.

Dla dziecka wychowanego w takiej rodzinie znaczyło to życie w rozdwojeniu: między opowieścią o pochodzeniu a codziennym doświadczeniem braku. Kto chce zrozumieć, skąd w Lalce wzięła się ostrość

spojrzenia na arystokrację i jednocześnie zrozumienie jej odruchów, powinien zacząć właśnie od tego rozdzielenia.

Trzeba przy tym odróżnić dwie warstwy, które w polskiej świadomości zlewają się w jedną. Szlachta w dawnej Rzeczypospolitej stanowiła około dziesięciu procent ludności i była warstwą ogromnie zróżnicowaną: od magnatów władających setkami wsi po zagrodowców uprawiających własną ziemię. Arystokracja, czyli kilkadziesiąt rodzin z tytułami i fortunami, była wewnątrz tej warstwy grupą osobną i zamkniętą.

Głowaccy należeli do tej pierwszej kategorii w jej najniższym odcinku i z arystokracją nie mieli żadnego kontaktu. Ich szlachectwo znaczyło tyle, ile znaczy zapis w papierach.

Prus rozumiał tę różnicę doskonale i wykorzystał ją w swojej największej powieści. Wokulski, szlachcic zubożały, i Łęccy, arystokracja bez pieniędzy, dzielą formalnie ten sam stan, a przepaść między nimi jest w tej książce nie do przebycia.

Warunki mieszkaniowe i materialne rodziny w pierwszych latach życia Aleksandra były, mówiąc oględnie, skromne. Nie posiadali domu ani ziemi. Mieszkali w budynkach należących do majątków, w których ojciec służył, albo — jak w chwili narodzin syna — u obcych ludzi. Umieblowanie, garderoba i zapasy takiej rodziny mieściły się na jednym wozie, bo tyle wystarczyło przy przeprowadzce.

Nie była to nędza w sensie dosłownym. Ekonom jadł do syta, miał służącą do pomocy i posyłał dzieci do szkół. Była to natomiast sytuacja bez rezerw: jedna choroba, jedna utrata posady albo jedna śmierć żywiciela wystarczały, żeby wszystko się posypało. I dokładnie to nastąpiło w ciągu następnych dziewięciu lat.

Inwentarz takiego domu wart jest wyliczenia, bo mówi o poziomie życia więcej niż ogólniki. Łóżka, stół, ławy, kilka krzeseł, skrzynia na odzież, kufer, naczynia gliniane i cynowe, parę sztuk bielizny pościelowej, obrazy święte, zegar, jeżeli było na niego stać. Książek kilka albo kilkanaście, w tym modlitewnik i kalendarz.

Jedzenie opierało się na tym, co dawał folwark: chleb żytni, kasze, kapusta, groch, ziemniaki, nabiał, mięso w niedziele i święta. Cukier był towarem droгим, herbata i kawa luksusem, wino czymś, czego nie kupowano.

Ubranie sprawiano rzadko i noszono długo, przerabiając je po starszych na młodszych. Buty dla dziecka były wydatkiem, który planowano.

O rodzeństwie wiadomo mniej, niżby się chciało. Pewne jest istnienie starszego brata, Leona, o którym osobno w podrozdziale 1.4, starszego od Aleksandra o trzynaście lat. Ta różnica wieku jest znacząca: gdy Aleksander się rodził, Leon był już młodzieńcem, a gdy umarł ojciec, Leon był dorosłym człowiekiem, zdolnym przejąć opiekę nad bratem.

Źródła wspominają także o siostrze, zmarłej w dzieciństwie, lecz szczegóły są tu niepewne i różne opracowania podają rozbieżne informacje. Śmiertelność dzieci w połowie dziewiętnastego wieku była tak wysoka, że rodziny rzadko dokumentowały wszystkie narodziny i wszystkie zgony, a akta parafialne bywały niekompletne albo zaginęły.

Liczby, które dziś znamy, są trudne do przyjęcia dla czytelnika przyzwyczajonego do innego świata. W połowie dziewiętnastego wieku na ziemiach polskich umierało przed ukończeniem pierwszego roku życia około jednej czwartej urodzonych dzieci, a do wieku lat pięciu nie dożywała blisko jedna trzecia. Przyczynami były biegunki, zapalenia płuc, odra, koklusz, szkarlatyna i nieznana wówczas higiena.

Skutkiem była postawa, którą łatwo dziś ocenić niesprawiedliwie. Rodziny spodziewały się śmierci części dzieci i przygotowywały się na nią wewnętrznie. Nie znaczy to, że nie rozpaczano; znaczy, że rozpacz mieściła się w porządku rzeczy i nie zatrzymywała życia. Dziecko zmarłe przed chrztem bywało odnotowane jednym słowem albo wcale.

Stan źródeł do tego okresu wymaga osobnego słowa, bo bez niego czytelnik nie będzie wiedział, czemu może ufać.

Udokumentowane aktami są w zasadzie trzy rzeczy: data i miejsce urodzenia wraz z chrztem, śmierć matki w 1850 roku i śmierć ojca w 1856 roku, oraz zapisy szkolne od 1856 roku. To wszystko. Nie ma dzienników, nie ma listów rodziców, nie ma opisu domu ani relacji świadków z pierwszych lat.

Wszystko, co wykracza poza te akta, pochodzi z dwóch typów źródeł, z których żaden nie jest doskonały. Pierwszy to późniejsze wypowiedzi samego Prusa — wzmianki w kronikach, uwagi w listach, zdania zapamiętane przez rozmówców. Człowiek pisał o własnym dzieciństwie po pięćdziesięciu latach, wybiórczo i nie zawsze dosłownie. Drugi to ustalenia

biografów, którzy w dwudziestym wieku przeszukali archiwa lubelskie, hrubieszowskie i puławskie, wypełniając luki ostrożnym wnioskowaniem.

Najważniejsze prace, na których opiera się dzisiejsza wiedza o tym okresie, powstały głównie w dwudziestym wieku i opierają się na kwerendach archiwalnych; część dokumentów, do których dotarli badacze przedwojenni, spłonęła w 1944 roku wraz z warszawskimi archiwami, co czyni ich ustalenia nieweryfikowalnymi.

Archiwa, w których szukano, są policzalne i warto je wymienić, żeby czytelnik wiedział, o czym mowa. Księgi parafialne w Hrubieszowie i okolicy, akta stanu cywilnego, akta szkolne w Lublinie, akta administracji gubernialnej, wreszcie akta śledcze z okresu powstania. Każdy z tych zbiorów przeszedł przez wojny, ewakuacje i pożary, a to, co dziś jest dostępne, stanowi ich ułamek.

Do tego dochodzi trudność drugiego rodzaju. Nawet zachowany dokument z epoki bywa niedokładny: imiona zapisywano w wersjach pobocznych, nazwiska przekręcano, daty wpisywano z pamięci, a urzędnik piszący akt nie zawsze rozumiał język osoby, która mu dyktowała. Dlatego w tej książce tyle razy pojawi się zdanie o dwóch wersjach imienia albo o dwóch datach.

Dlatego w tym rozdziale, i w całej tej książce, będę odróżniał trzy rzeczy: to, co wynika z dokumentu, to, co pochodzi ze wspomnienia, i to, co jest domysłem biografy. Nie zawsze da się tę granicę przeprowadzić ostro, ale udawanie, że jej nie ma, byłoby wobec czytelnika nieuczciwe — a wobec Prusa, który przez całe życie domagał się od publicystów rzetelności, wręcz niestosowne.

Na zakończenie tego podrozdziału chcę jeszcze raz podkreślić, czego w nim nie ma, bo uważam to za ważniejsze od tego, co jest.

Nie ma opisu domu, w którym się urodził, bo nikt go nie opisał. Nie ma relacji o jego rodzicach spisanej przez kogoś, kto ich znał. Nie ma wspomnień z pierwszych lat, bo pochodzą one z wieku, z którego wspomnienia nie powstają. Nie ma listów, dziennika ani żadnego dokumentu osobistego.

Jest metryka, jest kilka faktów o rodzinie i jest wiedza o tym, jak wyglądało wtedy życie ludzi takiego stanu. Z tego zbudowałem ten rozdział i chcę, żeby czytelnik wiedział, z czego jest zbudowany.

1.2. Śmierć ojca, śmierć matki

Dwie daty rozstrzygnęły o kształcie tego życia zanim jego bohater skończył dziesięć lat. Pierwsza to rok 1850, druga 1856. Pierwsza odebrała mu matkę, druga ojca.

Zanim przejdę do każdej z nich osobno, warto powiedzieć, co takie podwójne sieroctwo oznaczało w dziewiętnastym wieku w kategoriach praktycznych, a nie uczuciowych. Oznaczało utratę nazwiska jako pozycji, bo nazwisko bez rodziców nie otwierało drzwi. Oznaczało utratę domu jako miejsca, do którego się wraca. Oznaczało zależność od decyzji, w których dziecko nie uczestniczyło.

I oznaczało jeszcze jedno, najważniejsze dla całej tej biografii: konieczność radzenia sobie samemu, zaczynając się wcześniej i niekończąc się nigdy.

Apolonia z Trembińskich Głowacka zmarła w 1850 roku. Aleksander miał wtedy trzy lata.

Przyczyna jej śmierci nie jest w źródłach jednoznacznie podana i trzeba to powiedzieć wprost, zamiast powtarzać domysły. Akta parafialne z epoki notowały przyczynę zgonu zdawkowo albo wcale, a jeżeli notowały, to w kategoriach ówczesnej medycyny, które niewiele nam dziś mówią: „słabość”, „suchoty”, „gorączka”. W przypadku Apolonii najczęściej pojawia się wskazanie na gruźlicę, lecz jest to raczej rekonstrukcja prawdopodobieństwa niż ustalenie dokumentowe.

Wiek trzech lat ma tu znaczenie, o którym warto powiedzieć bez psychologizowania. Dziecko w tym wieku nie zachowuje wspomnień w postaci opowieści — i rzeczywiście Prus nigdy nie napisał o matce niczego, co brzmiałoby jak wspomnienie osobiste. Nie znaczy to, że strata pozostała bez skutków; znaczy tylko, że o tych skutkach nie da się powiedzieć nic pewnego, a wszystko, co się na ten temat pisze, jest interpretacją późniejszą.

Gruźlica, o której tu mowa, była w połowie dziewiętnastego wieku chorobą powszechną i praktycznie nieuleczalną. Nie znano jej przyczyny — prątek odkryto dopiero w 1882 roku — i nie umiano jej leczyć. Zalecano zmianę powietrza, mleko, odpoczynek i wyjazd na wieś, czyli środki, na które ubogą rodzinę i tak nie było stać.

Choroba ciągnęła się miesiącami i latami, a chory pozostawał w domu, wśród dzieci, bo szpitali dla suchotników nie było. Jeżeli Apolonia

rzeczywiście umarła na gruźlicę, to jej ostatnie miesiące upłynęły w jednej izbie z trzyletnim synem. Zaznaczam, że jest to rozumowanie o prawdopodobieństwie, nie o fakcie.

Sytuacja ojca po śmierci żony była sytuacją wdowca z małymi dziećmi i bez domu. Antoni Głowacki nadal pracował jako zarządca, a praca ta wymagała obecności w majątku, objazdów i rozliczeń. Nie miał ani czasu, ani warunków, żeby zajmować się trzyletnim synem.

Mężczyzna w takiej sytuacji nie miał w tamtym obyczaju żadnego wzorca postępowania z małym dzieckiem. Opieka nad niemowlętami i maluchami należała wyłącznie do kobiet: do matki, babki, ciotki albo najętej mamki. Ojciec wchodził w życie syna wtedy, gdy ten zaczynał się uczyć, i zajmował się jego wykształceniem, a nie jego codziennością.

Oddanie trzylatka rodzinie matki nie było więc w oczach współczesnych ani odrzuceniem, ani zaniedbaniem. Było jedyną rzeczą, jaką wdowiec mógł zrobić, i wszyscy uznaliby ją za oczywistą.

Rozwiązanie, które zastosował, było w tamtym środowisku typowe: dziecko oddano rodzinie matki. Aleksander trafił do babki Marcjanny Trembińskiej w Puławach — o tym szerzej w następnym podrozdziale. Warto jednak zauważyć, co ta decyzja oznaczała: od trzeciego roku życia chłopiec mieszkał poza domem ojca.

Powtórne małżeństwo byłoby w tej sytuacji rozwiązaniem najzwyczajszym i tak właśnie postępowała większość wdowców. Nowa żona przejmowała dom i dzieci, a wdowiec odzyskiwał gospodarstwo domowe. Antoni Głowacki tego nie zrobił albo nie zdążył zrobić przez sześć lat, jakie mu zostały. Dlaczego, nie wiadomo.

Warto przy tej okazji powiedzieć, jak wyglądało w dziewiętnastym wieku wdowieństwo i dlaczego tak szybko je kończono. Gospodarstwo domowe wymagało wtedy pracy w pełnym wymiarze: gotowania od podstaw, prania ręcznego, szycia, opieki nad dziećmi i nad chorymi. Mężczyzna sam tego nie prowadził, bo nie był do tego przygotowany ani obyczajowo, ani praktycznie.

Wdowiec miał więc do wyboru: ożenić się ponownie, sprowadzić do domu krewną albo nająć gospodynię. Wdowa z kolei, pozbawiona dochodu męża, zwykle nie miała z czego żyć i również szukała wyjścia.

Powtórne małżeństwa zawierano z tego powodu szybko, czasem w ciągu kilku miesięcy od pogrzebu, i nikt nie widział w tym braku szacunku dla

zmarłych. Było to rozwiązanie praktyczne w świecie, w którym samotne gospodarstwo domowe nie miało szans.

Skutkiem ubocznym tej praktyki były domy pełne przyrodniego rodzeństwa i relacje rodzinne o zawilości, którą dzisiejszy czytelnik zna raczej z powieści niż z życia. Dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa, pasierbowie, dzieci wspólne, do tego krewni przyjęci na wychowanie — wszystko to pod jednym dachem i przy jednym stole.

Pozycja dziecka w takim domu zależała od tego, czyje było, i literatura dziewiętnastowieczna opisywała to bez końca, bo było o czym pisać. Macocha jako postać złowroga nie wzięła się z niczego.

Aleksandra Głowackiego to akurat ominęło i nie sposób powiedzieć, czy na dobre, czy na złe. Zamiast domu z macochą dostał wędrowkę między domami krewnych.

Ta okoliczność miała dla losu Aleksandra znaczenie większe, niż mogłoby się wydawać. Dziecko z macochą zostawało w domu ojca; dziecko bez macochy szło do krewnych. Cała dalsza chronologia jego dzieciństwa — Puławy, Lublin, Siedlce, Kielce — wynika z tej jednej okoliczności.

Czy dzieci zostały przy nim? Odpowiedź brzmi: nie w wypadku najmłodszego. Leon, starszy o trzynaście lat, był już w wieku szkolnym i kształcił się poza domem. Antoni Głowacki został więc sam, a kontakt z synami sprowadzał się do odwiedzin i korespondencji.

Sześć lat później, w 1856 roku, umarł także on. Aleksander miał dziewięć lat.

Rok 1856 był zresztą w dziejach Królestwa momentem zwrotnym z powodów, które z tą rodziną nie miały nic wspólnego, a które warto odnotować. Zmarł wtedy car Mikołaj I, a zakończona klęską Rosji wojna krymska osłabiła cesarstwo i zmusiła je do reform. Zmarł także namiestnik Paskiewicz, który rządził Królestwem od ćwierćwiecza.

Nowy panujący ogłosił amnestię dla zesłańców i złagodził część ograniczeń. Zaczął się okres, który doprowadził najpierw do ustępstw Wielopolskiego, potem do manifestacji 1861 roku, a wreszcie do powstania.

Dziewięcioletni chłopiec, który w tym samym roku stracił ojca i poszedł do szkoły w Lublinie, wszedł więc w dzieciństwo dokładnie wtedy, gdy zaczynała się droga prowadząca do stycznia 1863.

Okoliczności tej śmierci znamy nieco lepiej niż poprzedniej, choć wciąż nie dokładnie. Wiadomo, że nastąpiła w 1856 roku i że była nagła na tyle, by

nie zdążono niczego uporządkować. W tym samym roku, 10 sierpnia, chłopiec został wpisany do Powiatowej Szkoły Realnej w Lublinie — co oznacza, że sprawy jego dalszego losu rozstrzygały się właśnie wtedy, w bezpośrednim sąsiedztwie tej śmierci.

Sytuacja prawna niepełnoletniej sieroty w Królestwie Polskim była uregulowana szczegółowo i warto ją znać, bo wyjaśnia, dlaczego Aleksander wędrował między domami krewnych, zamiast pozostać w jednym.

Obowiązywał Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego z 1825 roku, oparty w tej części na rozwiązaniach napoleońskich. Po śmierci obojga rodziców nad małoletnim ustanawiano opiekę, a nadzór nad opiekunem sprawowała rada familijna — zgromadzenie krewnych, zwoływane przed sądem pokoju, które zatwierdzało wybór opiekuna i kontrolowało zarząd majątkiem podopiecznego.

Pełnoletność osiągnęto wtedy później niż dziś i to również trzeba odnotować, bo rzutuje na całą chronologię tego życiorysu. Małoletni pozostawał pod opieką do dwudziestego pierwszego roku życia, a niektóre czynności prawne wymagały jeszcze późniejszego wieku albo zgody rady familijnej.

Oznacza to, że Aleksander Głowacki, wstępując do oddziału powstańczego w marcu 1863 roku, był formalnie dzieckiem pod opieką. Tak samo formalnie dzieckiem był, gdy sądzono go w 1864 roku, i właśnie ta okoliczność uratowała mu życiorys, o czym w rozdziale drugim.

Rada familijna liczyła zwykle sześciu członków, po połowie z linii ojca i matki, i miała obowiązek zbierać się w sprawach istotnych. Opiekun musiał sporządzić inwentarz majątku sieroty, składać rachunki i uzyskiwać zgodę rady na czynności przekraczające zwykły zarząd. Cały ten aparat prawny działał sprawnie tam, gdzie był jakiś majątek do pilnowania.

Warto przy okazji zauważyć, jak dalece prawo obowiązujące w Królestwie różniło się od tego, co panowało w pozostałych zaborach, i jak długo to trwało. Kodeks z 1825 roku, oparty na rozwiązaniach napoleońskich, obowiązywał w części przepisów do dwudziestego wieku. Jest w tym paradoks, który Prus jako publicysta wielokrotnie wykorzystywał: kraj pozbawiony państwowości zachował własne prawo cywilne dłużej niż niejedno państwo niepodległe.

Dla sieroty bez majątku miało to jednak znaczenie żadne. Procedura opiekuńcza chroniła kapitał, a tam, gdzie kapitału nie było, sprowadzała się do formalności.

I tu dochodzimy do sedna. Majątek pozostawiony przez rodziców Aleksandra był, z tego, co wiadomo, żaden albo bliski zeru.

Antoni Głowacki nie miał ziemi. Nie miał domu. Jako zarządca cudzych majątków dysponował pensją i być może niewielkimi oszczędnościami, które po jego śmierci musiały pokryć koszty pogrzebu i bieżące zobowiązania. Nie zachowały się dokumenty wskazujące, by dzieci cokolwiek odziedziczyły w sensie majątkowym.

Pogrzeb sam w sobie był w tamtych czasach wydatkiem znacznym i rodziny często zadłużały się, żeby go sprawić. Trumna, miejsce na cmentarzu, opłata dla parafii, świece, karawan, stypa — wszystko to kosztowało, a wypadało zrobić przyzwoicie, bo o tym, jak kogoś pochowano, mówiło całe miasteczko.

Istniały bractwa pogrzebowe i kasy, do których składano się za życia właśnie na ten cel, bo świadomość tego wydatku towarzyszyła ludziom stale.

Nie wiemy, jak pochowano Antoniego Głowackiego ani kto za to zapłacił. Wiemy, że jego dziewięcioletni syn kilka tygodni później został zapisany do szkoły w Lublinie i że ktoś musiał opłacić także to.

Praktyczna konsekwencja była taka, że opieka nad Aleksandrem nie była opieką nad majątkiem, lecz wyłącznie ciężarem — utrzymaniem dziecka, opłaceniem szkoły, ubraniem go. W rodzinach zamożnych sierota z kapitałem był przedmiotem zabiegów; sierota bez kapitału był problemem, który krewni rozwiązywali kolejno, przekazując go sobie.

Koszt utrzymania dziecka w takim domu daje się oszacować i nie był mały. Wyżywienie, opał, ubranie, obuwie, a nade wszystko szkoła: wpisowe, książki, przybory, mundurek. Dla rodziny żyjącej z pensji urzędniczej albo z drobnego handlu było to obciążenie odczuwalne co miesiąc.

Dlatego właśnie takie dziecko przechodziło z rąk do rąk. Nie była to obojętność, lecz rozkładanie ciężaru: każdy brał na siebie tyle, ile mógł unieść, i oddawał dalej, gdy przestawał móc.

Właśnie tak wyglądało dzieciństwo Aleksandra Głowackiego po 1856 roku: babka w Puławach, ciotka w Lublinie, brat w Siedlcach i Kielcach. Nie była to złośliwość ani obojętność rodziny — była to arytmetyka ubogiego domu.

Co Prus w dorosłym życiu pamiętał i pisał o rodzicach? Odpowiedź jest zaskakująca i sama w sobie wymowna: prawie nic.

W wielotomowym dorobku publicystycznym, obejmującym ponad tysiąc kronik, wzmianek o własnych rodzicach jest znikoma liczba. W listach — również niewiele. Prus, który pisał o wszystkim: o kanalizacji, o wychowaniu dzieci, o cenach mięsa, o teoriach naukowych, o własnych dolegliwościach — o matce i ojcu milczał niemal całkowicie.

Można to tłumaczyć dwojako i obie interpretacje mają zwolenników. Pierwsza: nie pamiętał ich i nie miał o czym pisać, bo stracił oboje, zanim zdążyły powstać wspomnienia. Druga: pamięć o nich wiązała się z bólem, do którego nie wracał. Przeciw drugiej przemawia to, że Prus o innych trudnych sprawach — o więzieniu, o biedzie studenckiej — pisał, choć rzadko. Za nią to, że o rzeczach naprawdę bolesnych, jak śmierć Emila, milczał całkowicie.

Jest jeszcze możliwość trzecia, o której pisze się rzadziej, a która wydaje mi się warta rozważenia. Prus należał do pokolenia i do środowiska, w którym pisanie o sobie uchodziło za niestosowne. Publicysta miał zajmować się sprawami publicznymi, a nie własną przeszłością. Wyznanie osobiste było gatunkiem zarezerwowanym dla poetów, a wobec poetów Prus zachowywał rezerwę przez całe życie.

W tym ujęciu jego milczenie o rodzicach nie byłoby ani niepamięcią, ani raną, lecz konsekwencją przyjętej roli. Zaznaczam, że tego również nie da się udowodnić.

Rozstrzygnąć tego nie sposób i nie będę udawał, że można. Faktem pozostaje samo milczenie, które przez biografów bywa interpretowane, a które równie dobrze może oznaczać, że nie było czego wspominać.

Warto natomiast zauważyć coś innego: temat sieroctwa wraca w jego twórczości z uporczywością, której trudno nie zauważyć. Anielka, Antek, Grzechy dzieciństwa, Sieroca dola — dzieci osierocone, opuszczone albo wychowywane przez obcych pojawiają się u Prusa stale i niemal zawsze z czułością, jakiej nie okazuje innym postaciom. To nie jest dowód na nic, ale jest obserwacją, którą każdy czytelnik jego prozy poczyni sam.

Warto przy tym zauważyć, czego w tej prozie nie ma. Nie ma w niej sieroty jako figury sentymentalnej, wzywającej do łez i do jałmużny, choć taka figura była w literaturze dziewiętnastowiecznej niezwykle popularna. Dzieci Prusa są konkretne, mają swoje sprawy, bywają uparte i niesympatyczne.

Człowiek, który pisze o sierotach, nie używając ani razu chwytu sentymentalnego, albo jest wyjątkowo dobrym pisarzem, albo wie o tej sytuacji za dużo, żeby ją upiększać. W tym wypadku zachodzą obie możliwości.

Na koniec rzecz, bez której los Aleksandra wygląda na wyjątkowo okrutny, a która pokazuje, że był typowy: skala sieroctwa w tamtej epoce.

W połowie dziewiętnastego wieku przeciętna długość życia w Europie Środkowej wynosiła około czterdziestu lat, przy czym liczba ta jest myląca — zaniża ją ogromna śmiertelność niemowląt. Człowiek, który dożył dwudziestki, miał szansę dociągnąć do sześćdziesiątki. Mimo to śmiertelność dorosłych w wieku produkcyjnym pozostawała wysoka: gruźlica, tyfus, cholera, powikłania porodowe, zapalenia płuc.

Epidemie cholery przechodziły przez ziemie polskie falami — w latach 1831, 1848, 1852 i później — zabierając za każdym razem dziesiątki tysięcy ludzi. Gruźlica, wówczas nazywana suchotami, była chorobą powszechną i uznawaną za w praktyce nieuleczalną; zabijała przede wszystkim ludzi młodych i w sile wieku.

Do tego dochodziła śmiertelność okołoporodowa, która zabierała kobiety w wieku rozrodczym w liczbie dziś niewyobrażalnej. Gorączka połogowa, wywoływana zakażeniem przenoszonym przez ręce osób odbierających poród, zbierała żniwo aż do upowszechnienia się higieny w drugiej połowie wieku. Ignaz Semmelweis, który w latach czterdziestych wykazał, że mycie rąk ratuje życie rodzącym, został przez środowisko lekarskie wysmiany.

Medycyna tamtej epoki nie dysponowała ani antybiotykami, ani szczepieniami poza ospą, ani znieczuleniem w powszechnym użyciu, ani wiedzą o zakażeniach. Lekarz umiał nastawić kość, otworzyć ropień i podać opium. Wobec choroby zakaźnej był bezradny i o tym wiedział.

Skutkiem było to, że sierota nie stanowił w ówczesnym społeczeństwie zjawiska wyjątkowego. Szacuje się, że w miastach europejskich tego okresu znaczny odsetek dzieci tracił przynajmniej jednego rodzica przed osiągnięciem pełnoletności, a utrata obojga nie była rzadkością. Powtórne małżeństwa wdowców i wdów były regułą, a domy pełne przyrodniego rodzeństwa czymś zwyczajnym.

Osadzenie losu Aleksandra w tym kontekście nie odbiera mu dramatyzmu, lecz zmienia jego charakter. Nie był chłopcem naznaczonym niezwykle nieszczęściem — był jednym z bardzo wielu. Różnica polegała

na czymś innym: na tym, że nie było majątku, który amortyzowałby stratę, i na tym, że przejmowali go krewni, którzy sami ledwo wiązali koniec z końcem.

Tę różnicę widać najwyraźniej, gdy zestawia się jego los z losem rówieśników z rodzin ziemiańskich, również osieroconych. Tam sierota zostawał w majątku pod opieką wuja, kończył szkoły i obejmował ziemię. Tutaj — jechał do babki, potem do ciotki, potem do brata, a po drodze musiał zarabiać na siebie korepetycjami.

Zestawmy na koniec daty z tego podrozdziału w jednym ciągu, bo dopiero wtedy widać, jak gęsto szły po sobie.

Rok 1847 — narodziny. Rok 1850 — śmierć matki i wyjazd do babki w Puławach. Około 1855 — przeniesienie do ciotki w Lublinie. Rok 1856 — śmierć ojca i zapisanie do szkoły realnej.

Dziewięć lat, dwie śmierci, dwie przeprowadzki i początek nauki. Wszystko, co miało ukształtować dzieciństwo tego człowieka, dokonało się zanim skończył dziesięć lat, i dokonało się bez jego udziału.

1.3. Dzieciństwo u obcych krewnych

Po śmierci matki w 1850 roku trzyletni Aleksander trafił do Puław, do domu babki ze strony matki. Nazywała się Trembińska; w źródłach pojawia się jako Marcjanna, w części opracowań jako Marianna — rozbieżność wynika z zapisów parafialnych i nie da się jej dziś rozstrzygnąć definitywnie.

Pobył trwał, według przyjmowanej chronologii, około czterech lat — od 1850 albo 1851 roku do mniej więcej 1854 lub 1855. Potem chłopiec został przeniesiony do Lublina. Wcześniejsza z tych dat wiąże się ze śmiercią matki, późniejsza z sytuacją samej babki, która była już wtedy kobietą starą.

Są to więc lata od trzeciego do siódmego albo ósmego roku życia, czyli okres, w którym dziecko uczy się mówić w pełni, zaczyna zapamiętywać i wyrabia sobie pierwsze wyobrażenie o świecie. Z całego tego okresu nie mamy ani jednego zdania zapisanego przez kogokolwiek.

Jest to luka, której nie da się zapełnić i której zapełniać nie zamierzam. Chcę tylko, żeby czytelnik zdawał sobie sprawę z jej rozmiarów: cztery lata dzieciństwa człowieka, o którym napisano kilkadziesiąt książek, są całkowicie puste.

O warunkach, w jakich chłopiec żył w Puławach, wiadomo niewiele konkretnego, a wszystko, co wiemy, wskazuje na skromność. Babka nie miała własnego majątku. Utrzymywała się z niewielkich środków, prawdopodobnie z resztek po mężu i z pomocy rodziny. Dom był mały, służby raczej nie było albo była jedna kobieta do wszystkiego.

Dom wdowy po drobnym szlachcicu wyglądał w tamtych stronach podobnie w każdym miasteczku. Dwie albo trzy izby, kuchnia z piecem chlebowym, sień, komórka, kawałek ogrodu z warzywami i kilkoma drzewami. Kury, czasem koza. Opał kupowany na zimę i oszczędzany.

Rok w takim domu dzielił się nie na miesiące, lecz na prace i święta. Wiosną sadzenie w ogrodzie, latem przetwory i suszenie, jesienią kiszenie kapusty i gromadzenie opału, zimą przedzenie, szycie i przetrwanie. Posty kościelne wyznaczały, co się je i kiedy; świąt było więcej niż dzisiaj i obchodzono je poważniej.

Zima była przy tym porą, której obawiano się co roku i do której przygotowywano się przez całe lato. Trzeba było mieć opał na kilka miesięcy, ziemniaki w kopcu, kapustę w beczce, mąkę, kaszę i słoninę. Jeżeli czegoś zabrakło w lutym, nie było skąd wziąć — sklepów z zapasami nie było, a pieniądze też się kończyły.

Chłód w takim domu był stanem normalnym. Ogrzewano jedną izbę, w pozostałych zamarzała woda. Spano w ubraniu pod pierzyną, a rano rozpalano od nowa.

Dziecko chowane w takich warunkach uczy się wcześnie, że dobrobyt jest rzeczą kruchą i że zabezpieczenie na czarną godzinę jest ważniejsze od wszystkiego. Jest to przekonanie, które u dorosłego Prusa widać w każdej kronice o gospodarności — z tą różnicą, że sam nigdy nie umiał go zastosować do własnych pieniędzy.

Ta sprzeczność zasługuje na zatrzymanie się przy niej, bo wraca w jego życiu wielokrotnie. Człowiek, który przez czterdzieści lat pisał o oszczędności, o rachunku, o kasach i o planowaniu wydatków, sam nie prowadził rachunków, rozdawał pieniądze i zbankrutował na jedynym przedsięwzięciu, w jakie się wdał.

Można to tłumaczyć na dwa sposoby. Pierwszy: człowiek najgłośniej zaleca innym to, z czym sam sobie nie radzi. Drugi: wiedział, jak należy postępować, i nie potrafił, bo za każdym razem ktoś potrzebował pomocy bardziej niż on sam.

Oba wyjaśnienia są prawdopodobne i oba mogą być prawdziwe naraz.

Dziecko w takim domu uczestniczyło we wszystkim, bo nie było nic innego do roboty. Patrzyło, podawało, przynosiło i słuchało rozmów dorosłych, które toczyły się przy nim, bo nikomu nie przyszło do głowy, żeby je odsyłać.

Z takiego dzieciństwa wynosi się określoną wiedzę: ile kosztuje chleb, jak długo starczy beczka kapusty i co się dzieje, gdy zabraknie opału w lutym. Wiedzę tę widać potem w kronikach Prusa na każdej stronie.

Dochód takiej kobiety pochodził z kilku źródeł naraz i żadne nie było pewne. Z niewielkiej sumy ulokowanej u kogoś na procent, z wynajęcia izby lokatorowi, ze sprzedaży tego, co dał ogród, z pomocy dzieci i zięciów. Bieda nie była tu dramatyczna, lecz stała i pilnowana co dnia.

Puławy tamtego okresu wymagają osobnego słowa, bo było to miasteczko naznaczone klęską w sposób widoczny gołym okiem.

Do 1831 roku Puławy stanowiły rezydencję rodziny Czartoryskich i jedno z najważniejszych centrów kultury polskiej. Izabela Czartoryska stworzyła tu Świątynię Sybilli i Dom Gotycki — pierwsze polskie muzea, gromadzące pamiątki narodowe. Adam Jerzy Czartoryski, syn Izabeli, był w czasie powstania listopadowego prezesem Rządu Narodowego.

Świątynia Sybilli, wzniesiona na wzór rzymskiej budowli, nosiła napis głoszący, że przeszłość dla przyszłości. Zgromadzono w niej pamiątki po królach i wodzach, a Dom Gotycki mieścił zbiory sztuki europejskiej. Były to pierwsze w Polsce muzea publiczne i powstały z myślą o narodzie, który właśnie tracił państwo.

Zbiory te ocalały w znacznej części, bo wywieziono je przed konfiskatą, i po latach stały się podstawą kolekcji, która trafiła do Krakowa. W Puławach po tym wszystkim został pusty park i budynki zajęte przez Rosjan.

To właśnie po tym parku biegało w latach pięćdziesiątych kilkuletnie dziecko, którego babka pamiętała jeszcze czasy świetności.

Po klęsce powstania majątek skonfiskowano. Czartoryscy wyemigrowali, a ich puławska rezydencja przeszła na własność skarbu rosyjskiego. Samo miasto przemianowano — od 1842 roku nosiło urzędową nazwę Nowa Aleksandria, na cześć carowej Aleksandry. W pałacu umieszczono rosyjski Instytut Wychowania Panien, zbiory wywieziono albo rozproszono, a park zaczął niszczyć.

Chłopiec dorastał więc w miasteczku, które jeszcze dwadzieścia lat wcześniej było stolicą polskiego życia umysłowego, a teraz nosiło rosyjską nazwę i mieściło rosyjską szkołę dla panien. Nie da się powiedzieć, ile z tego rozumiało czteroletnie dziecko; da się natomiast powiedzieć, że ludzie wokół niego mówili o tym stale, bo był to temat każdej rozmowy starszego pokolenia.

Warto dodać szczegół, który z perspektywy całej tej biografii nabiera wymowy. Aleksander Głowacki wróci do Puław dwadzieścia lat później, w 1869 roku, jako student instytutu rolniczo-leśnego umieszczonego w dawnym zespole pałacowym Czartoryskich. Spędzi tam trzy miesiące i zostanie usunięty. Miasto, w którym się chował, będzie więc także miejscem jednej z jego porażek.

Nazwa Nowa Aleksandria obowiązywała urzędowo do pierwszej wojny światowej, ale mieszkańcy mówili Puławy i tak też pisano w mowie potocznej. Podwójne nazewnictwo było w Królestwie zjawiskiem zwykłym i stanowiło jedną z tych drobnych form oporu, które nie kosztowały nic i nie dawały nic poza poczuciem, że się nie ustąpiło.

Babka jako opiekunka to postać, o której źródła mówią najmniej ze wszystkich osób z otoczenia małego Aleksandra. Była kobietą starszą — na tyle starszą, że jej zdolność zajmowania się małym dzieckiem musiała być ograniczona, i to prawdopodobnie tłumaczy przeniesienie chłopca po kilku latach.

Relacje, które zachowały się na temat tego okresu, są późniejsze i pośrednie. Wynika z nich obraz domu cichego, ubogiego, pozbawionego rówieśników i pełnego starych ludzi — obraz, który biografowie chętnie zestawiają z późniejszą skłonnością Prusa do samotności i z jego trudnościami w kontaktach zbiorowych. Zaznaczam wyraźnie: to zestawienie jest interpretacją biografów, nie ustaleniem źródłowym.

Dodam, że takie zestawienia bywają w biografistyce nadużywane i warto wiedzieć dlaczego. Biograf zna zakończenie i szuka w początkach jego zapowiedzi. Znajduje ją zawsze, bo w każdym dzieciństwie można znaleźć wszystko: samotność i towarzyskość, wrażliwość i upór, chorowitość i siłę.

Sprawdżaniem uczciwości jest pytanie, czy ten sam materiał posłużyłby do wyjaśnienia losu przeciwnego. Cichy dom pełen starych ludzi tłumaczy samotnika — i równie dobrze tłumaczyłby człowieka, który rzucił się w świat, żeby nadrobić stracone lata.

Sposób wychowania można zrekonstruować raczej z obyczajów epoki niż z dokumentów. W domu drobnoszlacheckiej wdowy dziecko uczono pacierza, czytania z książeczki do nabożeństwa i posłuszeństwa; edukacja systematyczna zaczynała się później i gdzie indziej.

Dzień takiego dziecka był pusty w sposób, który dziś trudno sobie wyobrazić. Nie było zabawek poza tym, co zrobiono w domu, nie było książek dla dzieci poza elementarzem, nie było przedszkola ani zorganizowanych zajęć. Czas wypełniały drobne posługi, obserwowanie dorosłych i samotne zabawy w ogrodzie.

Z tej pustki bierze się zresztą cecha, którą wszyscy przypisują dorosłemu Prusowi: zdolność do długiego i uważnego patrzenia. Nie twierdzą, że wykształciła się właśnie wtedy. Twierdzą, że warunki ku temu były.

Przeniesienie do Lublina nastąpiło około 1855 roku, a więc jeszcze za życia ojca, i to jest szczegół warty odnotowania — decyzja nie była skutkiem sieroctwa zupełnego, lecz raczej rozwiązaniem praktycznym: babka nie dawała rady, a w Lublinie była szkoła.

Chłopiec zamieszkał u ciotki, siostry matki, noszącej nazwisko po mężu. W źródłach występuje jako Domicela Olszewska, choć w niektórych opracowaniach pojawia się forma Olechowska. Mieszkała w Lublinie przy ulicy Olejnej pod numerem szóstym — adres ten zachował się w dokumentach i jest jednym z niewielu konkretnych topograficznych z dzieciństwa pisarza.

Mężem Domiceli był Klemens Olszewski, postać, która wróci w tej opowieści w roku 1864: to właśnie jemu władze rosyjskie oddadzą pod dozór szesnastoletniego powstańca zwolnionego z zamku lubelskiego.

Lublin połowy dziewiętnastego wieku liczył około dwudziestu tysięcy mieszkańców i był miastem gubernialnym, czyli stolicą administracyjną znacznego obszaru. Oznaczało to obecność urzędów, garnizonu, sądu, szkół i sporej warstwy urzędniczej, w której obracali się ludzie pokroju Olszewskich.

Dla chłopca przywiezionego z Puław była to zmiana skali. Zamiast miasteczka z jedną ulicą i parkiem po Czartoryskich — miasto z rynkiem, kamienicami, kościołami, koszarami i ruchem, który nie ustawał. Zamiast domu pełnego starych ludzi — rodzina z dziećmi, sąsiedzi, podwórze.

Zamiast nauki domowej przyszła szkoła z rozkładem godzin, z klasą i z oceną. Dziewięciolatek, który dotąd żył w porządku nieformalnym, trafił do instytucji.

Nie wiem, jak to zniósł. Wiem, że dwa lata później nie otrzymał promocji do następnej klasy.

Ulica Olejna, przy której mieszkali, leży w obrębie starego miasta, w okolicy gęsto zabudowanej, zamieszkaney przez mieszczaństwo i drobnych kupców. Mieszkanie takiej rodziny obejmowało dwie albo trzy izby na piętrze kamienicy, z kuchnią i ze wspólnym podwórzem. Dzieci spały w izbie z dorosłymi albo w kuchni.

Dom Olszewskich był domem mieszczańskim, niebogatym, prowadzonym oszczędnie. Aleksander był w nim dzieckiem przyjętym z konieczności i tego określenia używam świadomie, bo oddaje sytuację prawną i materialną, a nie ocenia uczuć.

Sytuacja taka miała w epoce swoje ustalone reguły. Dziecko przyjęte nie było traktowane jak własne, ale też nie było służbą; miało swój kąt, jadało przy wspólnym stole i chodziło do szkoły, a w zamian pomagało w domu i miało być wdzięczne. Kluczowe było poczucie tymczasowości: chłopiec wiedział, że jest u obcych i że jego obecność zależy od cudzej dobrej woli.

Obowiązki takiego dziecka rosły z wiekiem i były całkiem konkretne. Przynieść wodę, narąbać drzewa, odnieść list, popilnować młodszych, pomóc przy sprzątaniu. Nie była to praca ponad siły, lecz stała i oczywista — nikt jej nie zlecał osobno, bo rozumiała się sama przez się.

Do tego dochodził obowiązek nieokreślony, a najcięższy: nie sprawiać kłopotu. Dziecko przyjęte miało być niewidoczne, grzeczne i niekosztowne. Wszelkie przejawy krnąbrności odczytywano jako niewdzięczność, a niewdzięczność była w tamtym obyczaju zarzutem poważnym.

Czy Olszewscy byli dla niego dobrzy? Źródła nie dają podstaw do zarzutów. Przyjęli go, utrzymywali, posłali do szkoły, a wuj po latach wziął na siebie odpowiedzialność za zwolnionego z więzienia siostrzeńca. To znacznie więcej, niż wiele ówczesnych rodzin robiło dla ubogich krewnych.

Nie znaczy to, że chłopiec był w tym domu szczęśliwy, i nie mam podstaw, by o szczęściu czy jego braku cokolwiek twierdzić. Zwracam natomiast uwagę na rzecz, którą da się stwierdzić: przez dziewięć lat, między trzecim a dwunastym rokiem życia, Aleksander mieszkał kolejno w trzech

domach, z których żaden nie był domem jego rodziców. Potem przyszły jeszcze dwa — w Siedlcach i w Kielcach, przy bracie.

Pięć domów do szesnastego roku życia. Tę liczbę warto zapamiętać, bo pojawi się jeszcze raz, gdy w szóstym rozdziale dojdziemy do dwuletniego chłopca przyjętego przez małżeństwo Głowackich.

Pierwsza nauka szkolna Aleksandra zaczęła się w Lublinie i jej początek jest dobrze udokumentowany: 10 sierpnia 1856 roku został wpisany do Powiatowej Szkoły Realnej.

Szkoła realna różniła się od gimnazjum profilem: kładła nacisk na przedmioty matematyczne i przyrodnicze oraz na wiedzę praktyczną, zamiast na łacinę i grekę. Przygotowywała raczej do zawodu i do szkół technicznych niż na uniwersytet. Dla chłopca bez majątku był to wybór rozsądny.

Dyrektorem szkoły był wówczas Józef Skłodowski — postać, którą warto odnotować z powodu, który ujawni się dopiero w następnym pokoleniu: był dziadkiem Marii Skłodowskiej-Curie. Cieszył się opinią pedagoga wymagającego i uczciwego.

Program szkoły realnej obejmował język rosyjski i polski, matematykę, fizykę, historię naturalną, geografę, rysunek techniczny, kaligrafię i religię. Uczono po polsku, choć rosyjski zajmował miejsce coraz ważniejsze. Klasy liczyły po kilkudziesięciu uczniów, a rok szkolny kończył się egzaminem decydującym o promocji.

Dyscyplina była surowa. Spóźnienia, nieprzygotowanie i przewinienia karano klęceniem, aresztem po lekcjach, a w szkołach tamtego okresu także różgą. Nauczyciel miał wobec ucznia władzę niemal nieograniczoną, a rodzice jej nie kwestionowali.

Wyniki ucznia nie były olśniewające i tu dokumenty mówią jednoznacznie. W roku szkolnym 1857/58 Aleksander nie otrzymał promocji do klasy trzeciej. Powtarzał rok.

Ten fakt bywa w popularnych opracowaniach pomijany, a szkoda, bo mówi coś istotnego. Chłopiec, który później zdał maturę z wynikiem celującym i został jednym z najlepiej wykształconych publicystów swojego pokolenia, w wieku jedenastu lat nie radził sobie w szkole. Przyczyn można się domyślać — zmiana domu, brak opieki, może kłopoty ze wzrokiem, które w późniejszych latach były u niego poważne — ale domyślać się to nie to samo co wiedzieć.

Wychowanie religijne i obyczajowe w domach krewnych przebiegało zgodnie z normą swojego środowiska i epoki. Katolicyzm był oczywistością niewymagającą uzasadnienia: pacierz rano i wieczorem, niedzielna msza, posty, spowiedź, nauka katechizmu w szkole. Święta wyznaczały rytm roku, a kościół był miejscem, w którym widywało się całe miasto.

W kwestiach obyczajowych obowiązywały zasady posłuszeństwa wobec starszych, oszczędności, pracowitości i zachowania pozorów przyzwoitości. Dzieci odzywały się, gdy je pytano. Kary cielesne były powszechne i uznawane za naturalne, zarówno w domu, jak i w szkole.

Warto zauważyć, jak daleko odszedł od tego dorosły Prus. Pozytywista, zwolennik nauki i wychowania świeckiego, krytyk klerykalizmu — a jednocześnie człowiek, który nigdy nie zerwał z Kościołem ostentacyjnie i którego pogrzeb odbył się w kościele świętego Aleksandra. Ta dwoistość ma swoje korzenie właśnie tu, w domach, gdzie religia była częścią codziennego porządku, a nie przedmiotem wyboru.

O zdrowiu i usposobieniu chłopca w tym okresie świadectwa są skąpe. To, co powtarzają biografowie, sprowadza się do kilku określeń: dziecko ciche, raczej wątłe, skłonne do samotności, lubiące czytać. Pojawia się też wzmianka o słabym wzroku, który miał mu towarzyszyć całe życie.

Do tych charakterystyk podchodzę ostrożnie i radzę czytelnikowi to samo. Powstały one w większości po fakcie, gdy znany był już dorosły Prus — nerwowy, unikający tłumu, cierpiący na dolegliwości oczu — i łatwo było wsteczne cechy dopisać dziecku. Mechanizm ten w biografistyce jest powszechny i rzadko bywa nazywany.

Jedna rzecz wydaje się natomiast prawdopodobna z powodów niezależnych od tych relacji. Wada wzroku u dziecka w połowie dziewiętnastego wieku pozostawała nierozpoznana i nieskorygowana przez lata. Okulary były przedmiotem drogim, badania wzroku u dzieci nie przeprowadzano, a uczeń, który nie widział tablicy, uchodził za nieuważnego albo tępego.

Zestawmy to z faktem, że w roku szkolnym 1857/58 jedenastoletni Aleksander nie otrzymał promocji. Nie twierdzę, że przyczyną był wzrok. Twierdzę, że to jedna z możliwości, o której nikt wtedy nie pomyślał.

Ślady tych lat w twórczości są natomiast rzeczą sprawdzalną i tym się zajmę na koniec, ograniczając się — zgodnie z zapowiedzią — do zestawienia faktów z fikcją.

Nowela „Sieroca dola”, ogłoszona w 1876 roku, opowiada o chłopcu osieroconym, przerzucanym między ludźmi, którzy nie chcą go u siebie. Zbieżność tematu z biografią autora jest oczywista i nikt jej nie kwestionuje.

Zbieżności szczegółowe są jednak ograniczone i warto o tym pamiętać. Bohater noweli to dziecko z warstwy niższej niż Aleksander, pozbawione szkoły i perspektyw. Głowacki, mimo sieroctwa i ubóstwa, przez cały czas pozostawał w kręgu rodziny, chodził do szkoły i miał starszego brata, który się nim zajął. Nie był dzieckiem porzuconym, lecz dzieckiem przekazywanym.

Podobne zastrzeżenie dotyczy „Antka”, „Anielki” i „Grzechów dzieciństwa”. We wszystkich tych utworach powraca dziecko bezbronne wobec dorosłych i wobec okoliczności, ale żaden z nich nie jest zapisem osobistych przeżyć autora. Prus pisał o dzieciach z czułością i ze znajomością rzeczy; to, czy czerpał przy tym z własnej pamięci, pozostaje domysłem — silnym, lecz niepotwierdzonym.

Warto dodać, co z tych utworów wynika niezależnie od biografii autora, bo to właśnie czyni je trwałymi. Wszystkie one mówią o tym samym: że dziecko jest całkowicie zależne od decyzji dorosłych, że nikt go o zdanie nie pyta i że jego los rozstrzyga się bez niego. Nie ma w nich winnych ani złoczyńców — są ludzie zajęci własnymi sprawami i dziecko, które w tych sprawach nie istnieje.

Jest to obserwacja, do której nie trzeba własnego sieroctwa. Wystarczy uważnie patrzeć. Tyle że akurat ten autor patrzył uważnie i miał na co.

Jedna rzecz wydaje się natomiast pewna i nie wymaga spekulacji. Pisarz, który w dojrzałych latach z uporem wracał do tematu dzieci pozbawionych oparcia, do ochronek, do sierot i do obowiązków dorosłych wobec nich, sam przeszedł przez dzieciństwo, w którym nikt nie był do niego przywiązany z konieczności — a tylko z dobrej woli.

Wracając jeszcze do Puław i do Lublina, warto zwrócić uwagę na rzecz, której zwykle się nie zauważa: na ciągłość opieki. Mimo wszystkich przenosin Aleksander Głowacki przez całe dzieciństwo pozostawał w obrębie jednej rodziny — rodziny swojej matki.

Babka, ciotka, wuj, a później dalsi krewni Trembińscy tworzyli sieć, która się nim zajmowała, przekazując go sobie, lecz nie wypuszczając na zewnątrz. Nie trafił do przytułku, nie poszedł na służbę, nie zniknął.

Jest to różnica zasadnicza wobec losu dzieci, o których pisał potem w nowelach, i sam ją w tej książce podkreślał po raz drugi. Nie był dzieckiem porzuconym. Był dzieckiem, którym zajmowali się ludzie, których na to nie było stać.

1.4. Starszy brat Leon

Leon Głowacki był starszy od Aleksandra o trzynaście lat. Urodził się około 1834 roku, gdy przyszedł pisarz jeszcze się nie zapowiadał, i w chwili narodzin brata był już chłopcem szkolnym.

Ta różnica wieku ustawiła między nimi relację, która nigdy nie stała się relacją rodzeństwa w zwykłym sensie. Nie bawili się razem, nie dzielili pokoju, nie rywalizowali. Leon był dla Aleksandra kimś między starszym bratem a zastępczym ojcem — i właśnie tę rolę ostatecznie przyjął.

Trzynaście lat różnicy nie było wtedy niczym osobliwym. Kobiety rodziły przez cały okres płodności, a odstępy między dziećmi bywały duże, zwłaszcza gdy część potomstwa umierała we wczesnym dzieciństwie. Rodzina, w której najstarsze dziecko zakładało własny dom, zanim najmłodsze poszło do szkoły, była zjawiskiem zwyczajnym.

Skutkiem takiego układu bywało to, co widzimy tutaj: starsze rodzeństwo przejmowało wobec młodszego rolę rodziców, gdy rodziców zabrakło. Była to jedna z nielicznych form zabezpieczenia, jakie miało wtedy dziecko, i działała lepiej niż wszystkie instytucje razem wzięte.

Wykształcenie Leona było na tamte czasy poważne. Studiował na uniwersytecie w Kijowie, jednej z uczelni dostępnych dla Polaków z Królestwa po zamknięciu Uniwersytetu Warszawskiego w 1831 roku. Kijów był w owym czasie ośrodkiem, w którym polska młodzież z Ukrainy i z Królestwa spotykała się, studiowała i konspirowała.

Uniwersytet Świętego Włodzimierza w Kijowie założono w 1834 roku, przenosząc do niego zbiory i część kadry zlikwidowanego po powstaniu listopadowym Liceum Krzemienieckiego. Skutkiem był paradoks: uczelnia powołana po to, by rusyfikować, przez pierwsze dziesięciolecia skupiała młodzież polską z całego dawnego pogranicza.

Studenci polscy tworzyli tam własne kółka i organizacje, początkowo samopomocowe, z czasem polityczne. Z tego środowiska wyszli ludzie,

którzy odegrali rolę w wydarzeniach 1863 roku po obu stronach sporu o powstanie.

Władze zdawały sobie z tego sprawę i reagowały: przeprowadzano rewizje, wydalano studentów, zamykano uczelnię na pewien czas. Mimo to Kijów pozostał dla polskiej młodzieży z Kresów i z Królestwa ośrodkiem ważnym aż do końca wieku.

Leon Głowacki wyniósł stamtąd wykształcenie i poglądy, a przekazał je dwanaście lat później młodszemu bratu w Siedlcach i w Kielcach.

Studia tam oznaczały wyjazd na kilka lat, koszt znaczny jak na możliwości rodziny i wejście w środowisko, w którym dyskusja polityczna była chlebem powszednim. Że Leon Głowacki, syn ekonoma bez majątku, taką drogę przeszedł, świadczy albo o wyjątkowych zdolnościach, albo o wsparciu, o którym nic nie wiemy.

Po studiach Leon został nauczycielem historii. Zawód nauczycielski w Królestwie Polskim po 1831 roku był jednym z nielicznych zajęć umysłowych dostępnych dla wykształconego Polaka bez majątku — i jednym z najbardziej narażonych na nadzór policyjny, bo władze doskonale zdawały sobie sprawę z tego, co dzieje się w klasach szkolnych.

Nauczyciel historii w polskiej szkole tamtego okresu znajdował się w sytuacji szczególnie kłopotliwej. Program wymagał wykładania dziejów według wersji urzędowej, uczniowie oczekiwali czegoś przeciwnego, a każde nieostrożne zdanie mogło kosztować posadę. Leon, jak zobaczymy, nie należał do ostrożnych.

Wersja urzędowa przedstawiała dzieje Polski jako pasmo nierządu i warcholstwa, zakończone słusznie rozbiorami, a przyłączenie ziem polskich do Rosji jako powrót do naturalnego porządku. Uczniowie znali z domu wersję odwrotną i przychodzili z nią do klasy.

Nauczyciel miał wtedy do wyboru trzy postawy. Mógł wyklądać wersję urzędową i stracić szacunek uczniów. Mógł wyklądać ją obojętnie, dając do zrozumienia, że sam w nią nie wierzy, i to była droga najczęstsza. Mógł wreszcie powiedzieć, co myśli, i skończyć bez posady albo gorzej.

Warto mieć ten mechanizm w pamięci, bo objaśnia on więcej niż jedną biografię tamtego pokolenia.

Przejęcie opieki nad młodszym bratem nastąpiło po śmierci ojca w 1856 roku, choć nie natychmiast. Przez pierwsze lata Aleksander pozostawał w

Lublinie u ciotki i wuja Olszewskich, a Leon dopiero się usamodzielniał i budował pozycję zawodową.

Faktyczne przejście opieki datuje się na początek lat sześćdziesiątych, gdy Leon, mając już stałą posadę, zabrał brata do siebie. Powody były dwojakie. Praktyczny: dorosły, zarabiający brat mógł utrzymać chłopca lepiej niż niezamożna ciotka z własną rodziną. I drugi, o którym źródła mówią mniej wprost: Leon uznał, że młodszemu bratem trzeba się zająć poważnie — pokierować jego nauką, doбором lektur i poglądami.

Pensja nauczyciela gimnazjalnego w Królestwie Polskim pozwalała na życie skromne, lecz samodzielne: na wynajęcie mieszkania, na utrzymanie służącej, na ubranie odpowiadające pozycji. Utrzymanie dodatkowo młodszego brata mieściło się w tym budżecie, choć go napinało.

Zwracam na to uwagę, bo nadaje ono decyzji Leona właściwą wagę. Nie był to gest człowieka zamożnego, któremu jedna osoba przy stole nic nie robi. Był to wybór, który kosztował.

Nauka Aleksandra w Siedlcach przypada na rok 1861. Chłopiec trafił tam do szkoły, a mieszkał przy bracie, który w Siedlcach uczył.

Rok 1861 nie był w Królestwie Polskim rokiem spokojnym i to trzeba odnotować, bo tworzyło to tło codziennego życia obu braci. Od lutego przez miasta przechodziły manifestacje patriotyczne, rozpędzane przez wojsko; w Warszawie padli zabici. Władze wprowadziły w październiku stan wojenny. Szkoły stały się miejscem, w którym nastroje polityczne były najbardziej wyczuwalne.

Siedlce były wówczas miastem gubernialnym na Podlasiu, liczącym kilkanaście tysięcy mieszkańców, z gimnazjum, garnizonem i urzędami. Ludność mieszana: Polacy, Żydzi stanowiący znaczną część mieszczaństwa, ludność unicka we wsiach okolicznych i rosyjscy urzędnicy.

Podlasie było przy tym terenem, na którym napięcie religijne nakładało się na narodowe. Unici, czyli grekokatolicy, znajdowali się pod rosnącym naciskiem władz zmierzających do ich przeniesienia do prawosławia — proces ten zakończy się przymusową kasatą unii w 1875 roku i oporem, który przejdzie do historii jako dramat wsi podlaskich. Czternastoletni chłopiec mieszkał w środku tego.

Czternastoletni Aleksander uczył się więc pod nadzorem brata w mieście, w którym mówiło się o jednym. Trudno o lepsze warunki do ukształtowania

młodzieńca, który za dwa lata ucieknie z ławki szkolnej do oddziału powstańczego.

Przeprowadzka do Kielc nastąpiła w 1862 roku. Leon otrzymał tam posadę, a brat przeniósł się razem z nim i podjął naukę w kieleckim gimnazjum.

Kielce były miastem mniejszym od Lublina i położonym z dala od głównych szlaków, ale gimnazjum miało dobrą opinię. Aleksander znalazł się tam w klasie z chłopcami w podobnym wieku i w podobnych nastrojach. Ten właśnie okres — od jesieni 1862 do wiosny 1863 — kończy się przerwaniem nauki i wyjściem do powstania, o czym w następnym rozdziale.

Warto odnotować, jak wygląda ta wędrówka szkolna, gdy zestawia się ją w jednym miejscu. Szkoła realna w Lublinie od 1856 roku, z powtarzaniem rokiem. Siedlce w 1861. Kielce w 1862. Przerwanie nauki w marcu 1863. Powrót do szkoły w Lublinie jesienią 1864, po więzieniu. Matura w 1866.

Cztery szkoły w trzech miastach, jeden rok powtórzony, jeden rok stracony na wojnę i więzienie — a na końcu świadectwo dojrzałości z wyróżnieniem. Kto twierdzi, że o charakterze człowieka świadczy przebieg jego edukacji, ma w tym życiorysie materiał do przemyślenia.

Poglądy polityczne Leona były wyraźne i nie da się ich opisać jako umiarkowanych. Należał do pokolenia, które weszło w dorosłość między powstaniem listopadowym a styczniowym, i przyjmował program niepodległościowy w wersji zdecydowanej.

Przed 1863 rokiem uczestniczył w działalności konspiracyjnej. W środowisku nauczycielskim i studenckim istniały struktury przygotowujące wystąpienie — kółka, komitety, sieć kolportażu pism. Leon był w nie wciągnięty i zajmował w nich pozycję nie najniższą, skoro w 1863 roku powierzono mu zadanie wymagające zaufania, o którym za chwilę.

Konspiracja przedpowstaniowa miała w Królestwie strukturę rozbudowaną i sprawną. Dzieliła się na dziesiątki, setki i okręgi, posługiwała się pseudonimami, prowadziła własną pocztę i własny skarb. Do wybuchu powstania zbudowano organizację, która potrafiła jednocześnie, w jedną noc, uruchomić wystąpienie w kilkudziesięciu miejscach.

Przynależność do takiej organizacji oznaczała ryzyko, które trzeba sobie uświadomić. Za samo należenie do związku groziło zesłanie; za przechowywanie druków — więzienie; za udział w przygotowaniu

wystąpienia zbrojnego — śmierć. Sieć policyjna działała sprawnie, a konfidenti byli wszędzie.

Człowiek wciągnięty w konspirację żył w stanie stałej czujności: pilnował, co mówi, komu i przy kim; ukrywał papiery; przygotowywał wytłumaczenia. Trwało to miesiącami i latami, i wyczerpywało.

Piszę to, bo przy ocenie tego, co stało się z Leonem Głowackim w czerwcu 1863 roku, warto pamiętać, że jego załamanie nie przyszło po jednym wstrząsie. Przyszło po kilku latach życia w napięciu, zakończonych misją w mieście, w którym wieszano ludzi na rynku.

Wilno pod rządami Murawjowa zasługuje przy tym na kilka zdań, skoro to właśnie tam misja Leona Głowackiego się skończyła. Michał Murawjow objął zarząd guberni litewskich w maju 1863 roku z pełnomocnictwami nadzwyczajnymi i z zadaniem stłumienia powstania wszelkimi środkami.

Środki te obejmowały egzekucje publiczne, zsyłki obejmujące całe rodziny, konfiskaty majątków, kontrybucje nakładane na powiaty i wysiedlenia wsi. Liczbę straconych na Litwie w ciągu kilkunastu miesięcy liczy się w setkach, a zesłanych w dziesiątkach tysięcy.

Człowiek przybywający tam latem 1863 roku z zadaniem konspiracyjnym wchodził w miasto, w którym szubienica stała na placu, a aresztowanie oznaczało w najlepszym razie Syberię. Co dokładnie zobaczył i co przeżył Leon Głowacki, nie wiadomo. Wiadomo, że wrócił stamtąd chory i że chory pozostał czterdzieści cztery lata.

Postać Leona Głowackiego domaga się na koniec jednego zdania, którego nie znajdzie się w żadnym opracowaniu, bo nie jest ustaleniem.

Był to człowiek zdolny, wykształcony w Kijowie, nauczyciel historii, który wychował młodszego brata, wprowadził go w lektury i ukształtował mu umysł. Gdyby nie rok 1863, byłby zapewne jednym z tych nauczycieli, o których uczniowie pamiętają przez całe życie i o których nikt poza nimi nie słyszał.

Zamiast tego spędził czterdzieści cztery lata jako człowiek chory, utrzymywany przez brata, i pojawia się w historii wyłącznie jako przypis do jego biografii. Tak wygląda cena, o której zwykle się nie mówi, licząc straty powstań.

Nauczyciele odgrywali w niej rolę szczególną z powodu oczywistego: mieli dostęp do młodzieży, cieszyli się autorytetem i mogli przemieszczać się

bez wzbudzania podejrzeń. Władze rosyjskie zdawały sobie z tego sprawę i po powstaniu rozprawiły się z tą grupą zawodową ze szczególną surowością.

Nie wchodzę tu w opis działań zbrojnych, bo to materiał następnego rozdziału. Odnotowuję natomiast rzecz istotną dla zrozumienia domu, w którym dorastał Aleksander: był to dom, w którym rozmawiało się o polityce, przechowywało nielegalne druki i uznawało wystąpienie zbrojne za obowiązek.

Wpływ Leona na lektury, zainteresowania i światopogląd młodszego brata był, jak się przyjmuje, decydujący — i to jest jedno z niewielu twierdzeń o tym okresie, co do którego biografowie są zgodni.

Dostęp do książek był wtedy sprawą pozycji i pieniędzy, a nie chęci. Bibliotek publicznych w dzisiejszym rozumieniu nie było. Książki kupowano, pożyczano od znajomych albo korzystano z czytelni przy księgarniach, gdzie za opłatą wypożyczano na tydzień.

Nauczyciel gimnazjalny miał do książek dostęp lepszy niż większość: własny księgozbiór, bibliotekę szkolną, znajomości wśród kolegów. Chłopiec mieszkający przy takim człowieku dostawał więc coś, czego nie mógł mieć u ciotki w Lublinie — regał z książkami i kogoś, kto powie, od czego zacząć.

Leon był historykiem z wykształcenia, ale człowiekiem o szerokich zainteresowaniach, w tym przyrodniczych i filozoficznych. To on, według przyjmowanej rekonstrukcji, wprowadził brata w lektury poważne: w historię, w nauki przyrodnicze, w myśl europejską epoki. To także on ukształtował nawyk, który Aleksandrowi został na całe życie — samodzielnego, systematycznego czytania.

Trzeba tu jednak zachować ostrożność, do której zachęcam przez cały ten rozdział. Nie zachowała się lista lektur, którą Leon podsuwał bratu, ani listów, w których by o tym mówili. Rekonstrukcja opiera się na tym, co wiemy o Leonie, na tym, co czytał dorosły Prus, i na późniejszych wzmiankach. Jest prawdopodobna, ale to wciąż rekonstrukcja.

Relacja między braćmi w świetle zachowanych świadectw wygląda na bliską, choć nie bezkonfliktową.

Zależność była w niej wpisana i to z obu stron. Aleksander zawdzięczał bratu utrzymanie, szkołę i kierunek — i był tego świadom. Leon miał wobec brata poczucie odpowiedzialności, które łatwo przechodziło w chęć

decydowania. Układ taki dobrze funkcjonuje, dopóki młodszy jest dzieckiem; zaczyna trzeszczeć, gdy młodszy dorasta.

Napięcia, o których wspominają źródła, dotyczyły właśnie tego. Aleksander, już jako dorosły, budował własne poglądy — pozytywistyczne, sceptyczne wobec romantyzmu politycznego, nastawione na pracę u podstaw zamiast na zryw. Były to poglądy pod wieloma względami przeciwne temu, co reprezentował Leon.

Był to zresztą spór, który toczył się wtedy w całym polskim społeczeństwie, a nie tylko w tej jednej rodzinie. Pokolenie, które poszło do powstania, i pokolenie, które po nim wyciągało wnioski, mówiły różnymi językami. Jedni uważali drugich za ugodowców i sprzedawczyków, drudzy pierwszych za marzycieli, którzy przelali cudzą krew bez szans na powodzenie.

Osobliwość położenia Aleksandra Głowackiego polega na tym, że był w obu tych pokoleniach naraz. Poszedł do lasu jako piętnastolatek i po latach napisał, że była to pomyłka. Nikt nie miał prawa zarzucić mu, że mówi o czymś, czego nie zna.

Czy doszło między nimi z tego powodu do sporu? Źródła nie dają na to jednoznacznej odpowiedzi, a wobec późniejszej choroby Leona pytanie traci sens: brat, z którym można by dyskutować, przestał istnieć bardzo wcześnie.

Choroba psychiczna Leona Głowackiego jest jednym z najciemniejszych i najgorzej udokumentowanych wątków tej biografii, a przy tym jednym z tych, które rzutują na całe późniejsze życie Prusa.

Jej początek datuje się na rok 1863. Według przyjmowanej wersji Leon został wysłany z misją do Wilna — chodziło o zadanie konspiracyjne, prawdopodobnie związane z koordynacją działań powstańczych na Litwie. W trakcie tej misji, w czerwcu 1863 roku, wystąpiły u niego objawy załamania psychicznego.

Co dokładnie się stało, nie wiadomo. Rozważano rozmaite przyczyny: napięcie nerwowe, groźbę aresztowania, wstrząs po zetknięciu się z represjami — Wilno pod rządami Michaiła Murawjowa, zwanego Wieszatkiem, było w tamtym czasie miejscem strasliwym. Rozważano także predyspozycję wcześniejszą. Żadnej z tych hipotez nie da się dziś potwierdzić.

Przebieg choroby był przewlekły i nieodwracalny. Leon nie wrócił do pracy nauczycielskiej ani do żadnej innej. Pozostawał pod opieką —

częściowo rodziny, częściowo zakładów — przez następne czterdzieści cztery lata. Zmarł w 1907 roku, przeżywszy około siedemdziesięciu trzech lat, z czego ponad połowę jako człowiek chory.

Opieka nad chorym psychicznie w dziewiętnastym wieku oznaczała jedno z dwojga. Albo dom rodzinny, w którym chorego trzymano w osobnej izbie pod okiem kogoś z domowników lub najętego opiekuna. Albo zakład — a zakłady tamtego czasu były miejscami, o których dzisiejszy czytelnik wolałby nie wiedzieć: przepełnione, z personelem bez przygotowania, ze środkami przymusu w postaci kaftanów, pasów i izolatek.

Psychiatria jako dziedzina medycyny dopiero się wtedy wyodrębniała. Przez pierwszą połowę wieku toczył się w Europie spór o to, czy chorobę psychiczną leczyć należy metodami moralnymi — przez pracę, porządek i łagodność — czy fizycznymi, przez kąpiele, środki przeczyszczające i przymus.

Postęp, jaki się dokonał, polegał głównie na tym, że przestano chorych zakuwać w łańcuchy i zaczęto ich opisywać. Klasyfikacje chorób psychicznych powstawały i zmieniały się co dekadę, a nazwy używane w aktach z lat sześćdziesiątych nie odpowiadają żadnej dzisiejszej jednostce.

Dlatego napisałem wcześniej i powtarzam, że rozpoznanie choroby Leona Głowackiego nie jest dziś możliwe. Nie dlatego, że brak dokumentów, lecz dlatego, że dokumenty tamtego czasu mówią językiem, którego nie da się przełożyć.

Leczenia w dzisiejszym rozumieniu nie było. Stosowano kąpiele, upusty krwi, środki uspokajające pochodzenia roślinnego, pracę fizyczną i rygor. Pierwsze leki działające na objawy psychotyczne pojawiły się dopiero w połowie dwudziestego wieku, czyli pół wieku po śmierci Leona Głowackiego.

Określenia diagnostyczne używane w dziewiętnastowiecznych dokumentach — obłęd, pomieszanie zmysłów, melancholia — nie pozwalają na rozpoznanie w dzisiejszym rozumieniu. Wszelkie próby postawienia diagnozy wstecz są z tego powodu bezwartościowe i nie będę ich podejmował.

Pytanie, czy i jak Aleksander pomagał choremu bratu w dorosłym życiu, jest pytaniem, na które odpowiedź brzmi: tak, i to przez dziesięciolecia.

Prus, który przez znaczną część życia sam ledwo wiązał koniec z końcem,łożył na utrzymanie brata. Nie ma na to pełnej dokumentacji

finansowej, ale wzmianki w korespondencji i relacje otoczenia są zgodne. Koszty opieki nad osobą chorą psychicznie — pobyt w zakładzie albo utrzymanie przy rodzinie z opiekunem — były w dziewiętnastym wieku znaczne i obciążały budżet domowy w sposób odczuwalny.

Warto powiedzieć, czego takie zobowiązanie wymagało w praktyce. Comiesięcznej sumy przekazywanej przez czterdzieści lat, niezależnie od tego, czy w danym miesiącu przyszło honorarium. Załatwiania spraw: miejsca w zakładzie, opiekuna, lekarza, formalności urzędowych. Odwiedzin, o których nic nie wiemy, lecz które zapewne były.

I wymagało jeszcze jednego, najtrudniejszego: trwania przy tym, gdy nie ma żadnej nadziei na poprawę. Opieka nad człowiekiem, który nie wyzdrowieje, jest zobowiązaniem bez horyzontu, a Bolesław Prus wywiązywał się z niego przez cztery dziesięciolecia, nie mówiąc o tym publicznie ani razu.

Trwało to od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku do 1907 roku. Oznacza to, że przez cały okres, w którym Prus pisał *Placówkę*, *Lalkę*, *Emancypantki* i *Faraona*, w tle jego życia była ta jedna, stała pozycja wydatków i ta jedna, stała sprawa, o której nie mówił publicznie.

I na tym polega rzecz, którą chcę tu podkreślić. Człowiek znany z kronik pełnych zdrowego rozsądku, z pochwał pracy i gospodarności, z niechęci do romantycznych uniesień — miał brata, który oszalał w służbie powstania, i sam nosił ślady tego samego powstania w oczach i w nerwach. O żadnej z tych rzeczy nie pisał.

Gdy w czwartym rozdziale dojdziemy do agorafobii, o której milczano, warto będzie pamiętać, że nie była to jedyna rzecz przemilczana w tym domu.